

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok I.

Warszawa, dnia 14 sierpnia 1909 r.

№ 33.

Wacław Gąsiorowski.

## EMILIA PLATER.

22

Powieść historyczna.

Hrabiankę zdjęła niepewność. Może złe dano jej objaśnienie, może drogę zmyliła.

Zeszła z ganku, upatrując, czyli kogo nie znajdzie w pobliżu.

Aż z za węgla szerniałej cha-ty, poglądnącej ku Emilii bielmem porośłego mrozem okienka, wysu-nęła się szara postać niewieścia.

Emilia postąpiła naprzeciw.

— Moja kobieto, nie wiecie, gdzie mieszka hrabia Ksawery Plater?

Baba postawiła wiadro na zie-mi i ręką na dworek wskazała.

— Ano!

— Kołatałam, lecz nikt się nie ozwał.

— Trza od czeladnej.

— Pewni jesteście, że tu mieszka hrabia Broel-Plater?

— Co mam nie być. Jak się zwą akuratnie nie wiem, ale jest ci tego hrabstwa pełen dom... a będzie temu rok...

Emilia nie słuchała więcej, za-wróciła na tyły dworku, za opłotki, i dostrzegłszy uchylone drzwi do bocznej sionki, pchnęła je zlekka. W głębi ukazało się hrabiance wnętrze szerokiej izby czeladnej, spowitej kłębami pary.

— Jest tu kto?

— Co to? czego?—odpowiedzia-ła pytaniem jakaś chuda kobieta, podchodząc ku progowi.

— Chciałam widzieć się z pa-nem hrabią.

— Z jaśnie panem!—podchwy-ciła żwawo kobieta.—Nie wiem czy jest, ale niech wielmożna pani poz-woli tędy, tem przejściem, o tu, do tej komnatki; zaraz zamelduję.

Emilia poszła za sługą, lecz, nim wskazaną jej komnatkę ogar-nęła, tuż przed sobą, zobaczyła parę szeroko otwartych oczu i ja-sną główkę sporej dziewczynki.

— Niech panienka powie ma-musi, że jedna pani przyszła — ozwała się sługa.

Dziewczynka znikła za drzwia-mi. Hrabiankę niepokój zdjął.

— Za pozwoleniem, ale chyba się pomyliłam; idzie mi o hrabie-go Ksawerego...

— A to właśnie, proszę wiel-możnej pani, jaśnie panu Ksawery.. a jaśnie pani Marya...

Hrabianka nie zdążyła odpo-wiedzieć, gdy w bocznych drzwiach ukazała się niemłoda, lecz przystoj-na jeszcze dama w jedwabnej wi-sniowej sukni.

Emilii krew uderzyła do głowy.

Dama tymczasem skinęła na sługę, aby odeszła, i zwracając się do Emilii, zagadnęła z ukłonem:

— Czem mogę pani służyć?..

— Mam sprawę do hrabiego Ksawerego Broel-Platera!

— Ach, tak! Niechże pani raczy

zająć miejsce... Mąż mój nieba-wem nadejdzie...

— Hrabia Ksawery... pani mąż? Dama zmieszła się. Na peł-ną jej twarz wystąpiły rumieńce, bystre oczy skryły się pod zawał-mi mięsistych powiek.

— Tak — odparła cierpko,—mój mąż! Lecz z kim mam honor?

Emilia obciągnęła nerwowo swój welon żalobny i bez słowa odpo-wiedzi... skierowała się ku wyjściu. Ale w tejże chwili zagroził jej drogę szpakowaty mężczyzna w dłu-gim, opiętym surducie i na brodę zachodzącym halsztuku.

Hrabiance nogi wrosły w zie-mię.

— Sługa... proszę, czego pani sobie życzy?—podjął mężczyzna, po-glądnąjąc z widocznym zakłopotani-em na Emilię.

— Ale może przeszkadzam?—wtrąciła podrażnionym tonem dama w jedwabnej sukni.

— Cóż znowu!—podjął mę-zczyzna.—Nie mam przed żoną żad-nych sekretów! Więc proszę... słu-cham.

Dama w jedwabnej sukni roz-siadła się z tryumfującą miną na fotelu. Hrabianka wyprostowała się z wysiłkiem.

— Przychodzę z polecenia hra-bianki Emilii... jestem... jestem Pró-szyńska, córka zarządcy...

Mężczyzna skonfundował się.  
— A, bardzo miło... niech panna siada. Ojca znam, pamiętam...

Emilia wsparła się na poręczy krzesła.

— Hrabianka — zaczęła cicho Emilia — pragnęła upewnić się, czy... pan... hrabia otrzymał jej list... z przesyłką.

— Z obligiem?.. Owszem i ten... zbierałem się odpisać... bo właśnie zachodzi poważna kwestya, niezmiernie poważna... ale nie wiem, czy pannie mogę wyłuszczyć...

— Mój Ksawery, skoro panna przybywa z polecenia...

— A no tak, niezawodnie. Panna wie zapewne o zaszłym układzie...

Hrabianka skłoniła głowę.

— Owóż... Szajmann wypłacił mi należność według obligu, ale równocześnie zawiadomił, że ten, że ma rozkaz wstrzymania wypłat dotychczasowych, czynionych przez dominium Liksna i Antuzów... Stąd zmienił się jedynie tytuł, bo suma ogólna powiększyła się o drobniak, o bagatelę...

— Ależ zapominasz powiedzieć pannie o najważniejszym, o posagu!

— Pozwól mi...

— A czyń zresztą, jak ci się podoba! — zakonkludowała dama, i podniósłszy się raptownie, wyszła z komnatki.

Hrabia spojrzął ku drzwiom, za któremi ucichł szelest jedwabnej sukni, potarł czoło i dodał po pauzie:

— A no istotnie, najważniejsze, że procenty nie dosięgają nawet jednej trzeciej posagu. Panna rozumie?

Hrabianka zaprzeczyła poruszeniem.

— Bo tak, skoro ma się nazywać, że połowa procentów z posagu, winna być połowa. Hrabianka zaś wyliczyła posag, należny jej z Liksny, nie wspominając o tem, co przypada jej z Antuzowa i z Imbrodów.

— O ile mi wiadomo, rozporządziła tem, czem może dziś rozporządzać...

— Hm, niezawodnie, niezawodnie. Tylko, że wobec cofnięcia

wypłat, otrzymywanych dotąd przezemnie, oświadczenie hrabianki schodzi do zera...

Emilia mocniej zacisnęła kciście rąk na poręczy krzesła. Hrabia tymczasem mierzył leniwemi krokami komnatkę i wciąż rozwodził się nad kwestyą odebranego obligu.

Aż Emilia, ostatkiem sił broniąc się wyczerpaniu, zagadnęła chropowato.

— A prócz tego, co pan rozkaże powiedzieć córce?

— Prócz tego? — zdziwił się hrabia. — A no, że bardzo, bardzo... Ale, zapomniałbym! Pisze mi, że chce tu przybyć! Otóż nie mogę... wyjeżdżam!.. Więc nie trzeba by się trudziła... Są okoliczności, które mi nie zezwalają... Zresztą nie ma co wiele tłumaczyć, hrabianka wie zapewne więcej odemnie. Usłużnych wokół niej nie brak. Musiałem sobie życie jakoś inaczej urządzić... Wzrusza mnie, że pamiętała o obowiązkach względem ojca. Lecz na widzenie się przystać nie mogę. Jestem cierpiącym, lekarze wysyłają mnie na gwałt do wód... rozrzewnienie zaszkodziłoby mi... Kiedyś, w przyszłości, gdy wyjdzie za mąż, gdy będzie miała swój dom, nie uchylam się. Niech panna przedstawi to, z łaski swojej, hrabiance Emilii. Naturalnie delikatnie, bo nie chciałbym jej urazić. Co?

W tem miejscu oczy hrabiego spotkały się na mgnienie z oczyma Emilii i jakby ich palącym błyskiem rozgorzeć chciały, bo zaniepokoiły się w źrenicach, lecz zgąsły wnet.

Emilia postąpiła ku drzwiom.

— I pozdrowienia najserdeczniejsze proszę ode mnie!.. Panna Prószyńska! Pamiętam ojca, pamiętam!.. I waćpannę pamiętam, tylko żeś wyrosła, ślicznieś wyrosła!.. kłaniam!..

Hrabianka zachwiała się.

— Ależ, bo pannie coś jest!.. Może utrudzenie?.. proszę, niechże panna!.. Co panna?..

Hrabia nie zdołał dokończyć, gdy Emilia, która znalazła oparcie na framudze drzwi, oderwała się od niej, rzuciła się w głąb przejścia, dosięgnęła kuchni i sionki i do-

bywszy się z dworku, skrzyła w uliczkę.

Tu, uszedłszy kilkadziesiąt kroków, zatrzymała się, chwyciła gwałtownie powietrza i, czepiając się, biegnących wzdłuż uliczki opłotków, jęła sunąć z wysiłkiem.

Chwilami brnące w śniegu nogi odmawiały Emilii posłuszeństwa, chwilami grzebień opłotków ucinął się, pozbawiając hrabiankę jedynej podpory, chwilami zdało się, że nie dobędzie się z zasy, że zastygnie w omdlałym ruchu, że się nie podźwignie. Lecz gdy wyczerpanie miało Emilję ostatnim skuć łańcuchem, w bezwładnym mózgu hrabianki buchał płomień myśli i ten nowych jej sił użyczał, nową przejmował mocą.

Emilia zresztą nie ważyła widzenia się z ojcem, nie wypominała ani jego słów, ani roztrząsała jego racy i nie uczuwała ani żalu, ani goryczy, ani bólu, ani zawodu, ani smutku, ani odczarowania. Całą jej świadomością było, że bezdena, przepastna otchłań, ściga ją, zagarnia a całym pragnieniem ów płomień myśli, wołający ku niej, by uchodziła, by ratowała się, by szła naprzód, byle prędzej, byle coraz dalej od tej paszczy czarnej, potwornej, od tej ciemni śmiertelnej.

I hrabianka szła, nie bacząc, że mija ulicę za ulicą, że kluczy po zaułkach, że wchodzi na zbocze wzgórza zamkowego, że błądzi śród sosen antokolskiego lasku, że po raz drugi i trzeci tę samą przebywa drogę, że mroźny wiatr odrzucił jej welon żałobny i że smaga jej drobną twarzyczkę, że ręce jej kostnieją, że nogi drżą chwieją się, wypowiadają posłuszeństwo.

Hrabianka oparła się o pochylony nad drogą, pień wierzby.

Byle chwilę jedną, byle tchu więcej nabrać, byle przystanąć. Tak, i teraz znów naprzód, bo już nadchodzi, zbliża się, już wyciąga ku niej swe szpony, już ją chłonie...

Emilia natężyła wszystkie muskuły, szarpnęła się, lecz pień wierzby nie puszczal jej od siebie, trzymał, więził, aby ją wydać, aby pograżyć w ścigającej ją ciemni...

DCN.



# MARZYCIEL.

29

— A mąż? — rzucił, aby jej przerwać tę płaczącą i nudną lamentację.

— Mój mąż! — wołała z urągłym śmiechem. — Mój mąż przychodzi tylko do domu spać, zabawić się z psami albo z Magdzą i poznać się nade mną! Cóż ja mogę mieć z nim wspólnego? Igdyby nie różne okoliczności... gdyby nie moje sieroctwo...

— A chwalił się kiedyś przede mną, że pani wyszła, za niego z wielkiej miłości. Sondował.

— Kłamstwo! Nieprawda! Zaprzeczała gwałtownie. — Jak pan może nawet pomyśleć, że mogłabym kochać takiego potwora! Wysłałam za niego z rozpaczy... byłam sierotą, na łasce krewnych... sama jedna na świecie i tak nieszczęśliwa... że musiałam się zgodzić na ten ohydny mezalians! Przecież ja jestem z domu Kijaszevska i nie wychowywali mnie na żonę jakiegoś Soczka, maszyny! Boże, nie o takim ja życiu marzyłam! — załkała, wycierając załzawione oczy.

Błagowała jak z nut, bo Józio doskonale wiedział, że była z domu panna Kijaszek, córka zwrotniczego, i wstydziła się własnych rodziców. ale wysłuchał z uwagą, pocałował ją w rękę i rzekł z obłudnym współczuciem:

— Biedna, zapoznana dusza! Ale nie wiedziałem, że Soczek taki w domu przykry!

— Przykry?... ależ to cham, brutal, niegodziwiec, pijak i rozpustnik! — wyrzuciła jednym tchem. — Włosyby panu wstały na głowie, gdybym mogła opowiedzieć, co chciał zrobić ze mnie wtedy, kiedy go zasuspendowali w służbie za to wjechanie całą maszyną osobowego do bufetu! Wie pan... zaprosił na herbatę naczelnika śledczej komisji, kazał mi się wystroić i zostawił nas samych... umyślnie! I gdybym nie była uczciwą kobietą...

— Jakiś swąd w pokoju, coś się tli... — zauważył, rozglądając się niespokojnie.

Pociągnęła nosem i w lot zrozumiała.

— Samowar! Ta małpa znowu w nim napaliła węglem kamiennym!

Poleciała do kuchni a mimo zatrzaśniętych drzwi, rozległy się wrzaski, brzęk rozbijanych talerzy i zajadłe szczekanie psa.

Wróciła zadyszana, czerwona jak burak i z jękiem padła na krzesło.

— Boże! jaka ja jestem nieszczęśliwa! Ostrożnie, bo rozbijesz samowar! Krzyknęła za Magdzą wylatującą z pokoju jak zasapana lokomotywa.

Józio tak już miał dosyć wszystkiego, że podniósł się do wyjścia.

Skoczyła do drzwi jak pantera i zaparła je plecami.

— Nie puszczę pana... długo czekałam na taką chwilę... mam tyle do powiedzenia... pan jeden mnie zrozumie... zostanie pan jeszcze... Zaszepiała gorączkowo.

— Kiedy taki jestem znużony, że ledwie się już trzymam na nogach! I postąpił ku wyjściu.

— To chyba pan wyjdzie przez siłę!

Rozkrzyżowała się na drzwiach takim gwałtownym ruchem, aż cały szlafroczek się otworzył i rozbłyśnęły obnażone piersi.

— Naprawdę muszę już iść! — Powiedziała lodowato, cofnął się nieco i odwrócił oczy.

— Bo pan się na mnie gniewa? Opadły jej ręce i spojrzała wystraszona.

— Na panią, nie; ale doprawdy nie rozumiem...

Poruszył się chcąc wyjść przez kuchnię.

— Niech się pan nie gniewa... błagam o przebaczenie... ale ja musiałam ją wygnąć... musiałam...

Rzuciła musięną szyję, oplotła go rękami i wybuchnęła płaczem. Zrozumiał za co go przepraszała i uniesiony nagłym gniewem, odepchnął ją od siebie.

— Jak pani śmiała ją wypędzać z mojego mieszkania! I jakim prawem! — zakrzyczał.

— To było dla mnie okropne! — bełkotała nieprzytomnie, zalewając się łzami. — Ja pana tak strasznie lubię... Przecież codziennie... jak pies waruję przy drzwiach aby pana chociaż zobaczyć... a pan sprowadza sobie taką ostatnią, taką ulicznicę.

— Od kwartału się wyprowadzam. Nie potrzebuję opieki, jestem już pełnoletni. A Frania więcej jest warta od niejednej! Sto razy więcej! — Zakrzyczał z wściekłością i wyszedł.

Zamknął się, pozapalał lampy i niezmiernie wzburzony spacerował po mieszkaniu.

— Psiakrew z takimi opiekunami! Sentymentalna krowa! Małpa! — wymyślał, bo miotał nim coraz sroższy gniew, a przytem ta myśl, że Frania może w tej chwili błąkać się po jakiejś stacyjce i nie ma się gdzie schronić przed mrozem, strasznie mu dokuczała.

— Biedne stworzenie! I nawet się nie poskarżyła! Że też ja niczego się nie domyśliłem.

Przypomniał sobie całą scenę rozstania i zrobiło mu się jej okropnie żal.

— Taka pocziwa, taka dobra i przywiązana! Sprowadzę ją choćby jutro. Postanowił nagle.

Rozległ się jakiś głuchy szmer i ktoś bardzo lekliwie zapukał do drzwi.

— Kto tam?

Przystanął na środku pokoju i nasłuchiwał.

Nie było odpowiedzi. Ale posłyszawszy jakby stłumione łkania, otworzył szybko drzwi był prawie pewny, że to wracała Frania.

Weszła cicho Soczkowa okryta czarnym burnusem, z kapturem na suniętym aż na oczy; zamknęła za sobą drzwi na klucz i rzuciła się przed nim na kolana.

DCN.



Słynny aktor przyjechał na wakacje letnie do swego brata, szorstkiego chłopca. Lato, wspaniałe lato, suche, bez obłoków. I zaraz zdawało się, jakoby i on był dotychczas chłopcem, albo że kiedyś był parobkiem. Silne ramiona opowiadały legendę o minionych, silnych pokoleniach.

Obdarował hojnie żonę gospodarza, jak podróżnik obdarowuje dzikie autochtony: taniem materyami i klejnocikami, nie widzianymi na wsi. W jego torbie podróżnej była i trąbka i bęben dla chłopaka, była dla brataniczki lalka z płowemi włosy.

To była rodzinna jego wieś. Znał go tu dotychczas wielu. Naraz stał się podziwianym, bardzo poważanym. Wszyscy jakby zapomnieli, jak to uciekł ze szkół, jak błąkał się z wędrownymi drużynami; że przeszłość jego nie była pono zaszczytną ani dla rodziny, ani dla gminy. Teraz traktował ich z wysoka, jak książę jakiego. Rozrzucił też hojnie pieniądze na solenne pijatyki. Do każdego mówił przez „ty”—i młodym i starcom. A patrzył na nich z zajęciem tragika, recytującego wzniosły monolog.

Zyskał wielki rozgłos, a także wielką sławę. O dochodach jego krążyły legendy. O rolach jego dowiadawali się z gazet. Podobizny jego widywali w pismach już od pierwszego powodzenia. Nie było doprawdy słynniejszego człowieka na cały powiat.

Ciekawcy przybywali z okolicy przyrzeć się aktorowi, nadziwować się materyom jego strojów, podpatrzeć jego manieri i słabostki. Dziwili się, jak, mimo pięćdziesiątki, wydaje się dotychczas młodym i smukłym. Był sobie zresztą bardzo prosty i naiwny, z nieznanym wykształceniem. Gdzie go nabył, Bóg raczy wiedzieć. Ale bywałcem był w świecie, posiadał wrodzony gust i takt, nauczył się niejednej rzeczy z książek, czytanych bez wyboru, ze stosunków towarzyskich.

Pewnego dnia—było to wspaniałe lato, suche, bez obłoków—przybyła z poblizkiego miasta młoda panna i wypytywała się o niego. Miała wysoką fryzurę, ubiór bardzo egzotyczny, ale znoszony. W obliczu bladym, nieco drobny, ale stanowczym, żarzyło się dwoje dużych oczu, ze szczególnym wyrazem wesołości, jakby dwie gwiazdy ciemne; a patrzyła z taką poufałością i tak się śmiały do światła, że aż wzbudzały zgrozzenie.

Aktor leżał sobie wygodnie w sady. Czytał jedną z owych książek, wiecznie wypożyczanych, zastarzałych tak dziwnie, naiwnych i prostych, że było mu miło, jakby go coś odrzuciło o pięćdziesiąt lat wstecz. To też czuł się tak bezpiecznym w sobie, pewnym świętego spokoju. To też smakowało mu cygaro i mrużył ospale oczy, bo dzień był zbyt słoneczny. Ponieważ atoli zaanonsowano nieznaną pannę, wdział markotnie surdut i nasadził na głowę szeroki letni kapelusz.

Pannę wpuszczono do niego, dosadu. Podeszła płochliwie do stojącego w dostojnej pozie i wpatrzyła się w niego, pełna podziwu. Omal, że go w ręce nie całowała.

— Mistrzu, drogi mistrzu—mówiła,—idę cztery godziny drogi pieszo, żeby was zobaczyć. Nie było mi jeszcze nigdy dane widzieć was na scenie. Ale kocham was i grę waszą; uwielbiam was, mistrzu.

— Eh, eh! — zamamrotał aktor, przywykły do tego, żeby być podziwianym, i skinął jakimś gestem łaskawym, żeby usiadła na stołku, z którego zdejmował pośpiesznie taczkę ze szklanką i niedojedzony kołacz.

Usiadła bez zakłopotania. Ponownie wpatrzyła się w niego, pełna zapału i podziwu. Stał więc przed nią on. Był podstarzały, ale wysoki, smukły i gibki. A wydawał się też silnym mężczyzną. Atletą, ideał aktora. Twarz ze zmarszczkami, niezdeterminowana w charakterystyce, jak wszystkie oblicza aktorskie, wydawała się jeszcze młodą maską. Ogolony starannie, nie wyglądał jeszcze na pięćdziesiątkę. Ruchliwy też był. Dotychczas jeszcze młodzieniec.

— Mistrzu! — mówiła, upuściwszy na trawę zieloną torebkę i złożywszy ręce do prośby. — I ja także... pewnie się mistrz domyśla—chcę zostać aktorką. I ja muszę—za sztuką. Mistrzu, mistrzu, poradź, drogi mistrzu.

Powtarzała wyrazy z egzaltacją, z mocą zamiaru przetrawionego.

— Wszystko możliwe, wszystko na świecie—twierdził dobroduszenie. — I aktorka można zostać, czemużby nie? Powiedział to i uśmiechnął się z jakąś wyuczoną grzecznością.

— Przybywam z miasta T.

— Znałem T.

— A tak, mistrzu. Wiem, gdzie mistrz mieszkał. Przy Nizkiej ulicy, koło bramy miejskiej. Dom numer 20. Stoi jeszcze.

— Doprawdy? — westchnął sobie, zdziwiony przyjemnie. — Stoi dotychczas? Oparkaniony dookoła. A pod parkanami sady. Zawsze tak tam bywało.

— A tak. Wszystko dotychczas tak samo.

Aktor zapalił cygaro i wnet począł przyglądać się dziwnie wystrojonej damie na pół ze współczuciem, napół z ironiczną ciekawością.

— Słyszycie, mistrzu, moją prośbę—dlaczego przyszedł.

— Gra pani długo w T.? I teraz latem?—przerwał jej aktor.

— Bynajmniej, nie jestem aktorką—zarumieniła się.—Nie grałam dotychczas inaczej, jak tylko w naszym teatryku, wiecznie ze studentami i z amatorami. Wszystko u nas jest mi już tak małym—takie to małe! I zdawało mi się, że gdybym zaniedbała tę chwilę jedyną, gdybym nie przysłała tu i nie rozmówiła się z mistrzem, zmarnowałabym chwilę swojej odwagi. Mistrzu—mówiła z egzaltacją,—wy, którzyście

widzieli panią Duse, którzyście mieli to szczęście widzieć Stanisławskiego z jego rosyjanami...

— Eh, mało, mało się widziało, droga pani—rzekł i przypomniał sobie swą wielkość samoistną.

— Mój Boże! proszę się ze mnie nie śmiać. Czytam o wszystkich tych ślicznościach z bólem serca. Chcę to zobaczyć już wreszcie, a nie wiecznie tylko o tem czytać. Ja chcę w świat, w świat, chcę tam się uczyć, z rozkoszą dużo się uczyć. Chcę żyć tem, cała tem żyć!

Aktor spochmurniał. I wspomniawszy własne gorzkie lata, przeżyte po prowincjonalnych drużynach, poczuł nieufność do niej, nieskromnej.

— Więc tedy zostaje aktorka?.. Jak sobie to pani przedstawia?.. Chcieć—i tak zaraz, od jednego razu?..

Zrobił kwaśną minę, lecz przypomniał sobie wraz, że chwila nie odpowiednia. Przypomniały mu się też stare i dawne złudzenia młodości, tak zgodne z tem wszystkim, co tu słyszy. Uchwycił więc szybko jej dłoń i uśmiechnął się do niej tak ładnie i mile—a było to prośbą o przebaczenie.

Nie, ona nie zasługiwała na to, żeby ją odrzucać. Tylko ten ubiór na niej, taki parafiańsko niegustowny, mógł doprawdy człowieka rozstroić.

— Oh, kto chce być aktorem, musi marzyć tylko o wielkiej wygranej...

— A tak, ja chcę rzucić się w życie!—wybuchnęła.

— My niedyś robiliśmy to tak na ślepo...

— Pójdę, jak inni, na ślepo...

— Nie można powiedzieć, żeby to nie było ładne. Pamiętam, jak raz, kiedy mi zabraniali, o mało nie odebrałem sobie życia, byłbym się zabił—mówił z takim czarownym żarem i taką namiętnością, wyszczerzywszy wszystkie zęby, że panna sztywniała od błogiego wzruszenia i poczęła ikać z radości.

— Doprawdy? Ach, naprawdę? Dzięki więc, mistrzu!—ściskała mu rękę—to, tylko to wystarczy mi zupełnie. Nic więcej nie chciałam od mistrza. I cóżym też mogła chcieć innego, przedtem, nim puszcze się na te zapasy! Odwagi trzeba, Mistrzu, ja nie miałam jej dotychczas. A mistrz odczuł, że potrzebuję tyle odwagi. Dzięki za wszystko, za wszystko.

Aktor nie pojmował już może tyle zapału; ale ta radosna ochota do życia według swej woli elektryzowała go naprawdę. Ale tylko na chwilę. W te tropy oświadczył nim nieprzyjemne, poziome poczucie wątpliwości.

— A kogo też panienka opuści tak nagle? — pytał z wielką poufałością.—Czy pani dość zdecydowana?

— Owszem. Mam matkę—powiedziała stanowczo. — Kocham ją też. A jednak nie mogę postąpić inaczej. Jestem zdecydowana.

Chwila milczenia.

— I jeszcze—miałam jednego człowieka, który zalecał się do mnie. Płaszczyl się przede mną. Ale on wie

już dawno, co nas rozdzieliło. Bo też to jest o wiele silniejsze, niż to, co nas łączyło. A choćby mnie chciał zabić, ja nie mogę inaczej.

— Tak, tak, panienko — rzekł aktor i zdawało się, że wszystko to rozumie.

— Nie zdołam już myśleć o jego sklepie z papierami za gimnazjum, ani o nim samym. Snuł się za mną, jak cień; ale ja mu to wszystko powiedziałam. Kiedyś lubiłam go, ale dziś nie znam go wcale.

Chwila milczenia.

— Ale proszę pani, jakże z talentem? Talent? Gdzież talent pani? — wybuchnął aktor nagle, nie krepując się.

— Mistrzu! — wyciągnęła ręce z jakąś dumą i jakby czegoś odmawiała — ja znam swój talent — rzekła z przybijającą, niezachwianą pewnością młodego, niezłomnego temperamentu, tak, że słowa te wydawały się aż zbyt skromne.

Patrzył na nią zdziwiony bardzo. Czy wierzył, czy nie wierzył — poczuł tchnienie jakiejś nowej doby.

Idą więc pokolenia — pomyślał sobie, — pokolenia, pewne siebie. Czy to będzie lepiej? Czy też gorzej? — Coś jakby go upajało większą pewnością siebie i starało się podeprzeć jakoś i wiarę we własną, chylącą się już sztukę.

Dziwna ta młoda osoba podobała mu się zresztą. Miała w sobie taki ton szczeroci, zrównoważony nawet w egzaltacji. Byłoby niesprawiedliwością martwić ją niedowierzaniem w powodzenie, skoro własna jego sława polegała niegdyś tylko na wierze w powodzenie.

I czyż należy zatruwać słodkie złudzenia?

Na odchodnym ledwie go nie pocałowała w ręce. Ale on tylko zamamrotał. I długo po jej odejściu pozostał w zamyśleniu wśród ciepłego wieczora, zapatrzony w jeden punkt horyzontu.

Być może, że ta nieznajoma, która przyszła tutaj po odwagę, będzie jednak biedaczką przez całe życie. Ale dziś miała ona może najbardziej błogi

dzień w całym swym życiu i może nie nastanie już dla niej dzień uroczysty. I on sam zdaje się być czemś oczarowany. Przed kilku dniami jeszcze czuł próżnię i przesilenie po sezonie, przeżytym gorączkowo. Czuł zmęczenie od grania swych ról młodzieńczych, namiętnych amantów. Stał przełom, przesilenie jego sztuki; dochodził do jakichś szranek, których nie da się przekroczyć. Zatajał swe zmęczenie i myślał przytem, jakby się życiu okupić, okupić w jakiś piękny sposób. Może to lata, zatrzymać się nie dające. I dlatego cierpiał, jakby na przecucie blizkiego końca dojrzałej sławy.

Ale od odwiedzin tej nic nie znaczącej a nieznajomej zdawało mu się, że i on jakoś pokrzepiony. Mieć odwagę młodą, ślepa, bezwzględna, nie dająca się nikomu stłumić — oto wszystko! Oto tajemnica wszelkiego powodzenia i wszelkiej siły do przetrzymania przesilenia i do osiągnięcia nowych danych w rozwoju wiodnąc już poczynającą sztukę.

J. Uher.

## Gdyby szedł tędy mistrz z Nazaretu...

Tłom. z czeskiego Br. KONECZNA

Razu pewnego — przypominam sobie — zbudziło się wraz z porankiem tyle serdecznego ciepła, że każda piędź ziemi dyssała radością, a kto, wychodząc w pole, przekroczył próg domu, kładł rękę na pierś i mówił: Bóg z nami; chodźmy i pracujmy z rozkoszą!

A rokrocznie były gibkie i tętniały wesoło, gdzieniegdzie pieśń wyrwała się wargom.

To dziewczęta śpiewały.

Każdy musiał je słyszeć. Ptaki pod niebiosami, jakby im odpowiadały; gdzie zaś woda płynęła, w potoku, czy w rzece, szum jej był dziwny, pełen błogości!

Poranek był wesoły; wszystko wokoło drgało życiem. Poranek był tak radosny, że aż serce dziecinniało. Nie wieźre baśnią, a jednak trzeba przyznać, że była to baśń pewnego letniego poranku.

Mówiłem, że dziewczęta śpiewały i że każdy musiał je słyszeć. To też słyszał je każdy, a kto słyszał, uśmiechał się. Przez chwilę się uśmiechał, a potem się zamyślał.

Mój Boże, gdzież się podziały te dobre czasy! — w błogiem wzruszeniu wzdychali starzy.

Oby to wesołość trwała wiecznie! — szeptało w sercach młodym.

Dziewczęta śpiewały pieśń weselną. Tę pieśń, w której serce ludzkie tak chętnie zręka się wolności! I przy niej rozwiera ramiona, aby się rzucić w objęcia czegoś nieznanego!

W taki czas we wsi zabrzmiała nagle katarynka.

Także pieśń niosta. Ale co za pieśń! Była przeczeniem wszego piękna. Brudną plamą w bieli przestworza. Zepsuta katarynka nie może wydać pięknych dźwięków! Stęka żałośnie, wstrętnie. Każdy ton jej — to

jakby gwoździem w serce. Słuchajcie, jak to piszczy obrzydliwie! Człowiek wrażliwy zatyka uszy palcami i miałby ochotę krzyknąć z całej siły: „Przestań!” — na tego, głuchego starca, kręcącego korbą bez względu na wszystko z jakimś dziwnym uporem.

Wstrętny stary razem ze swoją katarynką! Ledwie ustać może, ledwie dyszy, a przecież kręci — ustawicznie — obojętnie — nie bacząc wcale ani na dostojność słońca, ani na piękno świata i nie słysząc niczego, prócz żałosnej a skrzypiącej pieśni swojej katarynki.

Szczególna to postać!

Nie wiadomo na pewno, czy drób zmyka przed nim, czy też przed odstraszącą pieśnią jego. Kurczęta uciekają, stary śmieje się jakimś zeszłym uśmiechem i kręci korbą...

A to dopiero rozkosz!.. Biedny stary! Boże miłosierny!

Dookoła biega gromadka dzieci. Tańczę sobie przy katarynce.

I znowu uśmiech obojętny, zeschnięty, miga na obliczu starca.

Bóg tam wie, co w tej siwej głowie...

Naraz pieśń ustała, jakby ją kto zdławił. Staruszek macha ręką, kręci korbą, ale naraz nie słychać nic. Nie słychać ani jednego brzmienia. Dzika muzyka ustała — Bóg się zlitował.

Staruch zeszytywniał i nagle zdławił jąkoś.

Dzieci przestały zawodzić. Wszystko stoi i patrzy, jak staruszek pochyła głowę nad skrzynką nagle oniemiała, jakby szukając, gdzie się podział koniec pieśni.

Ale nic nie znajduje, nic nie pojmuje.

Dzieci czekają przez chwilę, potem rozbiegły się, — stary został sam.

Ktoś zagaduje od progu: A czemuż nie gracie? Cóżście tak nagle ucięli?\*

Starzec odpowiada najpierw oczyma modremi, nieruchomemi, a potem wykąnął cichutko: „Połamało mi się to, połamało!” i patrzy znowu na skrzynkę oniemiałą.

Kurczęta biegają znow wokoło; jakby zrozumiawszy, że nie będzie już straszliwej muzyki, gonią pod samym wózkiem i gatakają wesoło: Tik! tik! tik! Dobrze tak!

Staruszek nie wie co począć, w oczach stają łzy. Próbuje kręcić korbą, ale skrzynka jest niema, jak przedtem niema na wieki...

Wozy jadą gościńcem. Stary patrzy, czy nie wiozą kogo, ktoby mu naprawił katarynkę. Ale nie wiozą nikogo. Nikt się na tem nie zna, nikt nie chce mu pomóc. Mija go jeden za drugim, a staruszek zostaje sam z wilgotną żrenicą nad połamaną skrzynką.

Wzrok tęskny, zbolaty: „Czemuż mi to zrobicieś, Boże!”

Patrzy ku niebu.

A tam w górze cicho. Dzień słoneczny. Drobne strzępki obłoków wygrzewają się tam.

„Tu tylko na ziemi” — myśli staruszek — jest łzawo, aż dusi.

Ale tak nie jest. Jedna jaskółka nie czyni wiosny, a jedno zbolate serce nie okrywa świata żałobą.

Nikt nie zwraca uwagi, że katarynka zamilkła.

Nawet to dobrze, że oniemiała. Jest czysto, nie już nie plami jasnej radości dnia. Płastwo się raduje, znowu ktoś śpiewa, drób hałasuje i dzieci krzyczą.

Zdaje się, jakby nawet proch ziemski objawiał w sobie jakieś życie.

Tylko na jednym sercu nie spoczę-

ło słońce, w jednym wzroku niema uśmiechu.  
Staruszek dziwi się, jak mogą ludzie śmiać się, gdy jego skrzynka...!  
Dziwna rzecz.  
Wtem przychodzi starem na myśl: Gdyby szedł tędy Mistrz z Nazaretu, który martwych budził do życia, możeby też naprawił jemu połamaną skrzynkę.  
Ale Mistrz nie przychodzi—nie przychodzi!...  
Chodźmy dalej! — powiedział sobie starowina. — Chodźmy dalej, precz z oczu ludzi! Trudno wesołemu przyglądać się żalów ciężko smutnemu przyglądać się radości.  
I chwytą za nosze wózka.  
Idzie swobodnie, a pcha wózek przed siebie z nabożeństwem, jakby na nim wywoził umarłego.  
Naprawdę wywozi zmarłego. Wywozi swoją radość, żywiciela — martwego. Dzieci odprowadzają go za wieś.  
— Cóż? gra już? — pytają go.  
Nie gra, dzieciatki, nie gra!... — odpowiada im  
Za wsią jest mały zwał porośnięty trawą. Cisza tam w południe. Słońce przyswiewa z góry, ale gromotu nie słychać.

Tam stary przystanął.  
Usiadł zmęczony troską i daremnie wytężeniem myśli, głowę oparł na dłoniach.  
Słońce było hojne, piekące. Trawa więdła w oczach pod żarem spiekoty. Wiatru nie było. Ciche południe.  
Jego nic nie zajmowało, nic nie przykuwało jego uwagi. Widzi tylko połamaną katarynkę przed sobą.  
Nieraz mawiał do niej: „My już razem dociągniemy!”  
A oto przyszedł koniec niespodzianie! Kto tak przeznaczył?.. I dlaczego tak przeznaczył?..

Pytania bez korzyści.  
Wstał, wyjął chleb z jakiejś skrytki w wózku, usiadł znowu i zjadał. Łamał kąsek za kąskiem, żuł w ustach — twardy, gorzki chleb. Za chwilę i tego nie będzie — nie będzie niczego  
Zajdzie gdzieś stary i nie wyjdzie nigdy. I słońce zachodzi, gdy na to czas. Potem będzie lepiej, wygodniej.  
I marzył, jakie będzie dalej życie na tamtym świecie.  
Bóg Ojciec, Bóg Syn — anioły...

Tam nie będzie potrzebował katarynkę  
Podniósłszy nieco głowy, zoczył chłopczyka. Patrzył na starego, prosto w twarz i chodził tam i z powrotem drobnym krokiem.  
— Chodź tu chłopczyku!  
Chłopczyzna przyszedł; zarumieniły mu się lice.  
— Cóż powiesz? Czy chcesz co ode mnie?  
Chłopczyk pokręcił głową.  
Nie chcesz... Na cóż więc czekasz tutaj? Idź na obiad, już południe!  
— Tatusz nie kazał. My mamy ot tam półko marchwi. Uważam żeby nie [kradli] — Nie kradli? Dobrze robisz, że uważasz! Ale ja już odejdę, żebyś mógł iść na obiad. Głodnyś, prawda?

\* \* \*

Dziewczęta śpiewały i było południe wesołe, radosne.  
Tyko staruszek myśli sobie:  
— Przykro na świecie, gorzko, łzawo... aż dusi. — i pcha przed sobą wózek ze skrzynką na zawsze oniemiałą...  
Gdyby szedł tędy Mistrz z Nazaretu!...

Robert Hichens.

## OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

33

— Byłam u hrabiego Anteoniego, by pożegnać go przed podróżą, — oświadczyła. Wyjechał w pustynię, w podróż.

— Na długo?

— Nie wiem, ale czuję, że będzie ona długa.

— Odejdź i przyjeżdża zawsze niespodzianie. Jestem tu i czasami nie wiem o tem zupełnie.

— To dziwny człowiek, ale przypuszczam, że to dobry człowiek.

Gdy mówiła o nim, poczęła uprzytomniać sobie, że to coś z jego strony wzbudziło w niej chęć pójścia do księdza.

— I zda się, nie powszedni — dodała.

Wciąż patrzyła na księdza, który spokojnie oczekiwał, by mu powiedziała coś więcej. Była rada, że nie zmąca jej myśli chęcią dopomożenia w wysłowieniu i we wywnętrzeniu.

— Przybyłam tu, żeby zaznać pokoju, — ciągnęła dalej. — I sądziłam, że go tu znalazła. Sądziłam tak aż do dnia dzisiejszego.

— W jednym miejscu tylko znaleźć możemy spokój, i to jedynie przez poddanie woli naszej woli Bożej.

— Ksiądz mniema, iż tylko w nas samych.

— Czyliż tak nie jest?

— Słusznie. Zatem byłam szaloną, jadąc go szukać aż tutaj?

— Tegobym nie rzekł. Miejsce obecnem jest w sercu i w niem droga życia: tak mniemam. Tak kiedyś mniemałem.

— Czy wtedy, kiedy ksiądz pragnął być mnichem?

Głęboki smutek zaćmił oczy księdza.

— Tak jest — powiedział. — I nawet dzisiaj trudno mi bardzo rzec te słowa: „Nie moja w tem wola, lecz Twoja, Panie!” Ale niech i pani zechce powiedzieć: co się tu stało takiego, co zmąciło pani pokój?

— Stało się coś, proszę księdza.

W ruchach jej i w twarzy odbiło się więcej wzburzenia.

— Czy ksiądz sądzi, — ciągnęła dalej, — iż jest to rzeczą słuszną starać się unikać tego, co życie komuś przynosi, szukać ochrony przed... przed burzą? Czyż nie tak czynią zakonnicy? Proszę mi wybaczyć, jeżeli...

— Szczerość nie dotyka mnie zupełnie — przerwał ksiądz prędko. Gdyby tak było, nie byłbym go-dzien mego powołania. Być może, dlatego właśnie jestem tutaj... zamiasł...

— Ach, tak, pamiętam przecie, że ksiądz pragnął być jednym z *frères armés*.

— To było mem marzeniem naczelnem. Ale pani — w pełen prostoty sposób zwrócił rozmowę z trosk swoich na jej własne — czy znalazła się pani na rozdrożu, w rozterce?

— Trudnoby to określić. Ale proszę mi powiedzieć: czyż nie winniśmy zawsze myśleć o innych więcej, niżli o nas samych?

— Aż dopóki nie narażamy siebie na wielkie niebezpieczeństwo. Dusza ludzka winna być odważną, lecz nie szaloną.

Głos jego zmienił się, stał się silniejszym i jakby nieco surowszym.

— Są niebezpieczeństwa, na które żaden prawy chrześcijanin nie powinien się ważyć: nie jest to tchórzostwem, lecz roztrpnością, która unika władzy złego. Znałem i takich, którzy uważali niemal za słuszną, iż powołaniem ich było nawracać upadłych aniołów. Władzę swoją w tym względzie równali z władzą, która należy jedynie do Boga.

— Tak jest, a jednak... chociaż to rzeczą tak trudną... gdyby człowiek jaki został opętany przez złego ducha, czy ksiądz nie próbowałby, nie szedłby do takiego człowieka?

— Gdybym na skutek modlitwy otrzymał wezwanie i wiarę, iż

daną mi jest ta władza, którą Chrystus posiadał.

— Wypędzania złego... wiem o tem. Lecz władza ta czyliż nie może być daną także i kobiecie?

— Być może... szczególnie nawet jej. Mniemam, iż zły duch bardziej się obawia dobrej matki, niż niejednego świętego.

W chwili tej Domini uprzytomniła sobie niemal z rozpaczą, jak wielce dusza jej wyzbyła się tej tarczy drogocennej. Uczucie gorzkiej bezradności spłynęło na jej istotę i uczucie pogardy dla tego, na co obecnie patrzała, jak na pychę szaleńczą. Ksiądz zauważył, iż ostatnie jego słowa dotknęły ją; nie starał się atoli tuż za tem kłaść balsamu na ranę.

— Pani przyszła dziś do mnie, jako do kierownika duchowego, nieprawdaz? — zapytał.

— Tak jest, proszę księdza.

— A jednak nie chce pani być ze mną otwartą. Czy nie tak?

Słowom jego towarzyszył wzrok przenikliwy, który zatrzymał na niej utkwiony.

— Tak jest — odrzekła śmiało.

— Dlaczego? Czy nie może pani — czy tylko nie chce pani powiedzieć mi tego?

Racya, podobna do tej, jaka spowodowała cofnięcie się jej od słuchania tego, co był widział wróżbiarz w piasku, spowodowała również i jej obecną odpowiedź:

— Jest w tem coś, czego nie mogę powiedzieć. Jestem pewna, że mam słuszność, nie mówiąc tego.

— Czy pani pragnie, żebym ja mówił do niej otwarcie? — zapytał.

— Owszem, niech ksiądz mówi.

— Powiedziała mi pani dosyć o swem przeszłym życiu, bym mógł wnosić z pewnością, iż przyjdzie kiedyś czas, że pani będzie bardzo dbałą w stosunku do wiary. Łaską Bożą została pani zachowaną od największego z niebezpieczeństw — niebezpieczeństwa utraty wiary w naukę naszego kościoła prawowiernego. Przyszła tu pani, by wiarę tę odnowić, która nie zabita, została stłumiona, sprowadzoną — by tak rzec, do rodzaju niemocy. Jest li pani pewną, że jest w stanie nieść pomoc — tu zawahał się rozmyślnie a potem dodał zwolna — innym? Są okresy w życiu, w których człek nie może dokonać tego, czego będzie mógł dokonać w przyszłości. Rekonwalescent, chwiejący się na nogach, zali może podążyć z bronią, by zastąpić bliźniego? Kto tak czyni, może się wydawać szlachetnie zapominającym o sobie. Czyli jednak czyn taki nie będzie szaleń-

stwem? A przytem, droga pani, winniśmy skrupulatnie być świadomi istotnych pobudek, gdy pragniemy nadążyć innym z pomocą. Z Boga li one, czy tylko z nas samych? Nie jest li to tylko osobistą chęcią pomnożenia częstokroć być może niegodnego szczęścia doczesnego? Egotyzm jest rodzicielem wielkiego potomstwa, a często ono samo nie poznaje swego pochodzenia.

Przez chwilę w Domini wzbrało uczucie silnej złości, jak potok gorący. Nie dała jej upustu, i nie wiedziała, iż zdradziła się z nią, aż póki ksiądz Roubier nie powiedział:

— Gdyby droga pani wiedziała, jak często to, co brałem za najlepsze moje natchnienie i w co wierzyłem święcie, wypływało jedynie z marnego źródła mego egoizmu! Złość jej szczyła odrazu.

— Wielka to prawda, — odrzekła. — I dotyczy nas wszystkich, niestety.

Powstała.

— Odchodzi pani?

— Tak jest. Muszę sama z sobą rozważyć. Dał mi ksiądz dużo do myślenia. Być może, powrócę jeszcze do księdza.

— Proszę. Pragnąłbym wspomóc panią, jeżeli potrafię.

Tyle było serdecznego dźwięku w jego głosie, iż wyciągnęła ku niemu dłoń swą odruchowo.

— Wiem, że ksiądz to potrafi. Być może, zdoła ksiądz również. Zaledwie atoli rzekła ostatnie te słowa, zwątpienie wpelzło do jej duszy, a nawet do jej głosu.

Ksiądz wyszedł do furtki, żeby odprowadzić Domini. Właśnie wyszła za ogrodzenie, kiedy spostrzegła, że Androwski był pod arkadą i był świadkiem jej wyjścia. Gdy przechodziła obok niego zauważyła, iż był niezmiernie podniecony i wzburzony. Twarz jego świeciła nową dziką luną opalenizny słonecznej. Gdy przechodząc, skinęła mu głową i gdy uchylał kapelusza, rzucił na nią błysk oczu, który był jakby oskarżeniem. Gdy weszła na werendę, usłyszała tuż zaraz ciężkie jego kroki na schodach. Przez chwilę wahała się, czy iść do swego pokoju i uniknąć spotkania z nim, czy zostać i pozwolić mu, by mówił? Wiedziała bowiem, iż podązał za nią z tym zamiarem. Naraz myśl jej jakgdyby raptownie urwała się. Przeszła skróś werendę i siadła na niskim fotelu stłomianym, który stał zawsze naprzeciwko jej okna.

Androwski skierował się za nią i stanął obok niej. Przez chwilę nic nie mówił, i ona milczała.

Wreszcie rzekł z rodzajem wysiłku gwałtownego, bo głos jego dzwijał bez barwy i niefrasobliwie.

— Hrabia Anteoni odjechał przypuszczam, proszę pani?

— Tak jest. Odjechał. Dostałem do ogrodu cała, jak pan widzi.

— Batucz nadszedł później. Bardzo był zawstydzony, dowiedziawszy, że pani poszła. Przypuszczam że boi się teraz i ukrywa; czekając, aż pani gniew na niego przeminie.

Domini roześmiała się.

— Batucz nie tak łatwo znów może mnie rozgniewać. Nie mam pańskiej natury, panie Androwski.

Wyzwanie to raptownie wstrząsnęło go, co było zresztą zgodne z jej zamiarem. Ruszył się szybko jak pod ciosem nieoczekiwanym.

— Mojej, proszę pani?

— Tak jest. Przypuszczam, że pan często się złości. Przypuszczam że pan nawet obecnie jest zły.

Twarz jego oblała się cała rumieńcem.

— Dlaczego ja miałbym być zły? — wybełkotał, jak człowiek, zupełnie porażony.

— Czy ja wiem, za co? Wiem tylko, że kiedyś przechodziła teraz koło pana, spojrział pan na mnie jakby pan mnie istotnie chciał ukarać.

— Ja... ja... doprawdy, przykro mi bardzo, że twarz moja mówi często wiele z tego... czego... czego..

— Czego usta pańskie nie śmieją powiedzieć. No, tak, tak jest. Za coś pan gniewa się na mnie?

Patrzała na niego bez litości obserwując rozterkę jego twarzy. Zdobywczy dział powstał w jej istocie przez to spojrzenie, jakie był rzucił ku niej. Kto śmie, kto ma prawo jakie patrzeć tak na nią?

Otwartość jej szorstka przywróciła mu panowanie, które by utracił. Przez chwilę czuła, iż w nim jest ta sama zdolność walki, co i w niej, może nawet większa.

— Kiedym ujrział panią wychodzącą z domu księdza, uczulem iż pani mówiła tam o mnie, o mojem postępowaniu wczorajszem...

— Być może! Dlaczegoż nie miałabym czynić tego.

— Myślałem, że pani chciała łaskawie przyjść mi...

Zatrzymał się.

— No, cóż? spytała głosem raczej mocnym.

— Pani, ja nie wiem, com myślał i co myślę... ja wiem tylko, że nie zniosę, by ktokolwiek miał brać mnie w obronę za moje postępowanie. Oczywiście... ja nie zniosę tego.

Wyglądał strasznie wzburzony, postąpił dwa czy trzy kroki naprzód, potem zawrócił.

— Czy tak było?—zapytał.— Czy było tak, proszę pani?

— Nie wymieniał ani razu pańskiego nazwiska przed księdzem Roubier, ani on też nie wymienił go przedemną—odrzekła.

Przez chwilę zdawało się, że się ułagodził, atoli raptowne podejrzenie znowu go podjęło.

— Ale bez wymieniania mego nazwiska?—rzekł.

— Pan pragnie posądzać mnie tedy o grę słów, o nieszczerłość!—zawołała z żarem, prawie równym jego żarowi.

— Nie, pani! nie, pani! Ja... ja wiele cierpiałem. Jestem o wszystko podejrzliwy. Proszę mi przebaczyć, proszę mi przebaczyć.

Mówił prawie niepomny. W ruchach i zachowaniu jego było coś rozpaczego.

— Nie wątpię, że pan cierpiał—rzekła nieco łagodniej, lecz razem z pewnem nieubłaganiem, któremu się sama dziwiła, nad którym atoli

nie mogła panować.—Będzie pan zawsze cierpiał, jeżeli nie będzie pan miał władzy nad sobą. Ludzie za to będą pana nie lubili, będą pana podejrzawali.

— Podejrzawali! Kto może mnie podejrzawać?—zapytał ostro. Kto ma jakie prawo podejrzawać mnie?

Spojrzała na niego i zdało się jej przez chwilę, że widzi w oczach jego coś, jakby grozę, jak niećność.

— Wie pan zapewne, że ludzie nie pytają o pozwolenie, żeby podejrzawać swych bliźnich,—rzekła.

— Nikt tu nie ma prawa ważyć moich czynów,—rzekł, patrząc na nią z dzikością.—Jestem człowiek wolny i mogę robić, co mi się podoba. Nikt nie ma żadnego prawa... nikt!

Domini czuła, iż te ostatnie słowa stosują się jakby do niej i jakby on niemi ją smagał. Tak była złą, iż nie dowierzała swej mowie i tylko instynktownie poniosła rękę na pierś, jak kobieta, która otrzymała cios. Ręka ta dotknęła czegoś małego i twardego,

co było ukrytem pod suknią. Był to mały drewniany krzyż, który Androwski rzucił do wody w Sidi-Zerzur. Gdy uprzytomniła to sobie, złość jej minęła. Czowała się zawstydzoną i ukorzoną. Czemu była jej religia, jeżeli jedno słowo było w stanie wzbudzić w niej taką paśkę uczuć?

— Przynajmniej, co do mnie, nie jestem podejrzliwą o pana—rzekła, dobierając słów, które z trudem najwyższym w tej chwili wypowiadała. I ksiądz Roubier... jeżeli i jego pan wlicza... jest nadto dobrym i delikatnym człowiekiem, by miał żywić względem kogo niegodne podejrzenia.

Wstała. Głos jej był pełen opanowanego, lecz jeszcze silnego wzruszenia.

— Ach, panie Androwski!—rzekła.—Przemóż pan siebie i idź pan do niego. Zawrzyj pan z nim stosunek przyjazny. Zapomnij pan o wczoraj. Chciałabym, żeby pan był z nim w przyjaźni, ze wszystkimi tutaj. Niech Beni-Mora będzie miejscem pokoju i dobrej woli. DCN.

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

### Polonica.

× W najświeższym zeszycie miesięcznika francuskiego *Revue pour les Français*, wychodzącego w Paryżu pod redakcją p. Gastona Bordata, znajdujemy artykuł p. t. „*Le projet de démembrement de la Pologne russe*”. Autor artykułu, p. Rocheverre, przedstawia projekt oderwania Chełmszczyzny od Królestwa Polskiego, podaje tekst urzędowy projektu, głosy prasy polskiej, krótki zarys historyczny Królestwa. Obiektywnie i rzeczowo informuje p. Rocheverre o całej sprawie czetylników francuskich.

× W Konstantynopolu, na domu, w którym umarł Adam Mickiewicz wmurowana będzie d. 17-go b. m. tablica pamiątkowa, z napisem w języku tureckim. Dom ten jest obecnie własnością rodziny Ratyńskich. Inicjatorem tego uczczenia pamięci twórcy „Pana Tadeusza” w stolicy Turcyi jest p. Tadeusz Gasztowt, syn profesora Gasztowtta z Paryża, autor książki p. t. „*La Pologne et l'Islam*”.

× Teatr polski powstać ma wkrótce w Chicago staraniem grona członków miejscowej kolonii polskiej. Na razie dane będą trzy przedstawienia tygodniowo.

### Z literatury angielskiej.

× Oskar Wilde. „*Miscelanics*”. „*Revue*”. Dwa ostatnie, tak zatytułowane tomy 14-tomowego wydania dzieł Oskara Wilde'a, które wyszły obecnie w Londynie—zawierają drobne, ogółowi dotąd nieznanne, okrucy jego prac dziennikarskich i publicystycznych, rozproszonych bezimiennie w czasopiśmie. Autor „*Doriana Graya*” pisał te krytyki jako redaktor pisma kobiecego *Women's World* i referent literacko-artystyczny *St. James's Gazette* w początkach swej kariery literackiej. Oba tomy pełne są myśli niezwyk-

łych, barwnych, dowcipnych spostrzeżeń i uogólnień. Estetyka Wilde'a ma zawsze źródło szlachetne, kocha on tylko sztukę republik Florencyi, Wenecyi i Aten; jako uczeń Ruskina żąda dla ludu harmonii między sztuką a życiem. Oprócz szkiców krytycznych jest też fragment dramatyczny „*Święta Kurtызana*”, odnaleziony w urękach. Rękopis całego utworu, który Wilde ukończył na krótko przed swoim procesem, zaginał.

### Z literatury włoskiej.

× *Nieznane rękopisy Leopardiego*. W bibliotece S-go Marka, w Wenecyi, odnaleziono paczkę rękopisów Leopardiego. Są to nieznane dotąd poezye i dziewięć nie ogłoszonych jeszcze nigdzie listów. Rękopisy te, które wyda wkrótce w druku p. G. Coggiola, bibliotekarz księgozbioru „*Marciana*”, pozostawiła siostra Leopardiego Paolina służącemu rodziny na pamiątkę.

### Z literatury francuskiej.

× *J de Mestral de Combremont*, „*Le Miroir aux Alouettes*”. Nowe dzieło autorki „*Widma szczęścia*” ma za tło ruch kobiecy w Paryżu. Na tem tle kreśli p. de Combremont tragiczne dzieje małżeńskie niedobrej pary, lecz do wniosków żadnych nie dochodzi, kwestyi nie rozwiązuje. Jakkolwiek książka nie wolna jest od wad, właściwych kobiecym utworom beletrystycznym, niemniej zaleca się głęboką powagą i bardzo trafnie skreśloną indywidualną charakterystyką postaci.

× *D-r Pierre*, „*Daremna praca*” („*Inutile Labour*”). Książka ta stanowi niejako pendant do głosnych „*Wyznań lekarza*” Weresajewa. Autor opisuje barwnie i żywo daremne wysiłki lekarza wiejskiego w walce z przesądami i niechęcią pacjentów.

× *Noëlle Roger*. „*Nasze kłamstwa*” („*Nos Mensonges*”). Jestto zbiór siedemnastu nowel, w których autorka walczy nieubłaganie z obłudą i konwencyonalnością we wszystkich sferach i warstwach społeczeństwa. Niektóre z tych szkiców powinny być pogłębione i szerzej opracowane. Autorce sżło jednak bardziej o uzasadnienie myśli zasadniczej niż o charakterystykę. „*Nasze kłamstwa*” oddziaływają jak dobroczynny, oczyszczający powiew, jak zdrowy, silny protest przeciw wszelkiej, nieszczerości, sztuczności, przeciw wszelkiemu fałszowi.

### TRZEŚĆ NUMERU 33-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski*.  
Marzyciel. *Władysław St. Reymont*.  
Aktor i natchnienie. *Antonin Sora*.  
Gdyby szedł tedy mistrz z Nazaretu...  
*J. Uher*.

Ogród Allaha. *Robert Hichens*.  
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie; 1 rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:  
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:  
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza. № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie